

Zenon Witkowski

ul. Parkowa 8 m 15.

BIALYSTOK

I/876



Nazywam się Zenon Witkowski. Urodziłem się w 1933-cim roku w Białymstoku. Mieszkalem w dzieciństwie przy ulicy Adama Mickiewicza. Ojciec mój był policjantem, a matka gospodynią domową. Tak to bowiem przed wojną było, że kobiety zajmowały się tylko gospodarstwem domowym. Również mam dwie starsze siostry: Alicję i Irenę, które w roku 1940-tym trzynastego kwietnia, razem z matką zostaliśmy wywiezieni do Rosji. Zostaliśmy wywiezieni przymusowo. Nie dobrowolnie, jak to się po powrocie pisało, że uciekliśmy przed Niemcami. Nie tylko zresztą tylko nasza rodzina.

Bardzo dużo rodzin z naszego rejonu, rodzin policjantów, zostało dostarczonych do wagonów towarowych na stację Białystok Fabryczny /wówczas dworzec Poleski/. Zostaliśmy tam do wagonu wciśnięci. Dopiero po dwóch dniach pociąg ruszył.

Cały transport wywieziono do Kazachstanu. Jeśli chodzi o sam moment aresztowania - to było gdzieś około północy. Przyszli żołnierze rosyjscy. Kazali się matce zbierać razem z nami. Powiedzieli nam przy tym, że my jedziemy do ojca do Rosji.

Matka wiedząc, że my jedziemy do Rosji, do ojca, że mu się tam dobrze powodzi - bo tak nam powiedziano - więc automatycznie: tylko torebkę pod pachę, ubrała nas i ona już była gotowa do wyjazdu. Natomiast mieszkał u nas major lotnictwa rosyjskiego, wynajmował pokój - bo kazali nam oddać - gdy Rosjanie wkroczyli; i ten major kazał jakiemuś tam żołnierzowi, starszemu rangą - kazał zatrzymać się, a żołnierzom kazał z domu wszystko pakować. Kazał wszystko pakować do prześcieradeł: i pierzyny i poduszki, ubrania z szafy. Wiedział też, że mamy na strychu suchary i smalec natopiony. To wszystko kazał

zawinąć do prześcieradeł, zapakować i nieść do samochodu. A nas - jak już mówiłem - wsadzono do pociągu. Czekaliśmy dwie doby. I potem cały transport wyruszył w stronę Rosji. Jedaliśmy około dwóch tygodni. Wnętrze wagonu posiadało wyposażenie w zasadzie standardowe: piętrowe nary pozbijane z desek. Na środku wagonu, w podłodze wycięto otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Żadnych sanitariatów tam nie było. Kto co miał, rozkładał się na tych narach rodzinnymi. I tak jechaliśmy.

Dobrze, że była pierzyna, dobrze, że były kołdry i poduszki, to jeszcze jako tako mogliśmy dojechać. Ale niektórzy przecież nie mieli nic. Dosłownie tak jak stali, tak byli zabrani. I tak w tych wagonach z nami przebywali.

O karmieniu nie było mowy. Nam jeść nie dawano. Co kto miał, to jadł. Na stacjach spuszczaaliśmy garnki na sznurkach przez zakratowane okna, to nam wlewano tam gorącej wody. Bo tam u nich w Rosji jest taki zwyczaj, że jest kipiatak. I to nam wlewano. Czasami ktoś przyniósł kawałek chleba lub coś takiego. W każdym bądź razie nie karmiono nas absolutnie, wcale.

Już w wagonie zaczęły się choroby. Z chwilą przyjazdu do Kazachstanu wyładowano nas i wsadzono do takiej szopy, gdzie się mieściły kozy chyba, jakaś tam zwierzyna. Z naszego transportu kilka wagonów zostało tam umieszczonych. I tam również ani jedzenia, ani niczego nie dawano. Musieliśmy tam już pracować. Ja na przykład, mając sześć czy siedem lat już zacząłem paść kozy w stepie. I w związku tym dostawaliśmy jakieś tam jedzenie. Tak, że nasza sytuacja bardzo się pogorszyła. Tu było jeszcze gorzej, bo wcześniej to każdy coś tam z domu miał w czasie transportu. Natomiast tam sytuacja zaczęła się pogarszać.

Zaczął panować szalony tyfus. Masa ludzi zginęła. No i tak przez dwa lata byliśmy w Kazachstanie. Byliśmy w okolicach Barnau, miejscowość chyba Uczasto-4, ale dokładnie nie pamiętam. Potem, gdy generał

Anders utworzył armię, granica z Irakiem/Iranem?/ była otwarta w zadzie. Między innymi i moja mama zdecydowała się jechać, do Iranu. No i żeśmy wyjechali z Kazachstanu. Ponieważ Związek Patriotów Polskich był w Nowosybirsku, aż /to po dwóch latach/, pojechaliśmy do tego Nowosybirska, do Związku Patriotów Polskich, bo oni musieli dać takie poręczenie, na podstawie którego można było dostać wizę i przedostać się do Iraku /Iranu?/.

To mama załatwiała tę sprawę. Związek Patriotów Polskich odmówił z uwagi na to, że tam tyfus panuje, cholera, dżuma, że Polacy są dzieciątkowani w Iraku. Obiecywano nam jednocześnie, że zostaniemy skierowani w inne miejsce, gdzie dostaniemy dom, że tam dostaniemy zapomogę rublową, żebyśmy tylko nie wyjeżdżali do Iranu.

No i mama uwierzyła. Uwierzyła temu wszystkiemu. I nas skierowano do Altajskiego Kraju, w Barnaujskij rejon. Też nie pamiętam, jaki tam jest uciążliwy, chyba cztery przez siedemnaście, ale nazwy nie pamiętam.

Kiedy tam zajechaliśmy do przedsiębiorcy kałchoza - czy sowchoza, dokładnie nie pamiętam - no to dał nam ziemiankę. Był to dół wykopany w ziemi. To już był Sybir. Co było tragiczne: w lecie było pięknie, ładnie, upały. Mijają dwa dni i kolosalna zima. Jesieni i wiosny nie było. Tylko kilkudniowy okres przejściowy z lata do zimy. No i tam: zawieje, buiriany, śnieżyce. Po wodę chodziliśmy do Irtysza po sznurku. Wykopane w zaspach śniegu takie przejście. I wychodziliśmy na sznurkach, bo zamieć następowała i niejednokrotnie byliśmy zasypany śniegiem niosąc wodę do domu.

Tam dano kawałek ziemi, gdzie można było posiać proso czy posadzić kartofle. Ja tam pracowałem na polu - w okresie letnim. Pielikłem buraki, okopywałem kartofle, a siostry dwie pracowały - trudno mi powiedzieć, jak to się nazywa - po rosyjsku to się nazywa "podwał". To był taki dół, do którego były uprzednio wsypywane kartofle i temu podobne rzeczy. Tam były te rzeczy tam gromadzone, a potem wy-



syłane. I ja również, w okresie zimowym pracowałem w tym podwale. No tam może sytuacja odrobinę się poprawiła z uwagi na to, że Ameryka zaczęła przysyłać do Rosji "Unrę". No i tam te nasze polskie władze to rozdzielają. To się dostawało na przykład parę butów na rodzinę, to się dostawało jakieś tam trzy metry flaneli. Tak, że sytuacja była o wiele lepsza niż na samym początku.

Lepiej także było i dlatego, że myśmy mieli kawałek ziemi, gdzie można było posiać proso, posadzić kartofle. Tu już na zimę pewne zasoby były. Tam też dano kartki nam. Otrzymywaliśmy po dwieście pięćdziesiąt gramów chleba - oczywiście chodziło o osoby pracujące, bo kto nie pracował, "tot nie kuszal". Chleb mieliśmy, ale trzeba było w nocy stać w kolejce, żeby coś dostać, bo chleba dawano bardzo mało. Dawano porcje dwustu-pięćdziesięciogramowe.

Sytuacja poprawiła się także i z uwagi na to, że powstał Związek Patriotów Polskich. Tam również powstały szkoły polskie, już. W tych szkołach nauczano po polsku, a nie po rosyjsku. Właśnie zacząłem chodzić do takiej szkoły; to znaczy "szkoły": prywatnie do lokalu. Gdzieś tam w budynku jakimś dawano pokoik, czy w ziemlance. I tam myśmy zaczęli na książeczkę do nabożeństwa uczyć się liter, czytać, pisać, troszkę rachować. To była właśnie edukacja moja jeśli chodzi o Rosję.

Tam również, w tym Ałtajskim Kraju, w tym Pawłodarskim rejonie zastało nas wyzwolenie, tzn. w 1945-tym roku, kiedy wojna się zakończyła. Tam było bardzo dużo Polaków. I kto był w granicach Polski powojennej, mógł wyjechać. Natomiast kto był przykładowo z Wilna, Baranowicz czy Pińska - ci zostawali. Bo to byli już obywatele rosyjscy, którzy urodzili się na ziemi rosyjskiej tak, jak to po wojnie wyznaczono granice. Ci ludzie już tam zostawali.

Była to tragedia z chwilą wyjazdu. Tylko dwie czy trzy rodziny wróciły stamtąd do Polski. Do Białegostoku żeśmy wrócili 15-go czerwca 1946 roku.

Tak to z grubsza wyglądała sprawa naszego pobytu na Syberii. Jeśli natomiast chodzi o to, kto ze mną został wywieziony, więc to były pełne wagony. Spaliśmy w wagonach piętrowo na poukładanych deskach. Ja tylko pamiętam dwa nazwiska: rodzina państwa Plutów, która się składała z matki i dwóch synów i córki, i państwa Tykockich - matka i dwóch synów. Pozostałych nie pamiętam. To z całego Białegostoku byli ludzie wywożeni. Tych zaś pamiętam dlatego, że koło nas blisko mieszkali. Oni potem pozostali w Kazachstanie, a myśmy wychodzili do Ałtajskiego Kraju. Oni wrócili do Polski. W tej chwili jeden z synów państwa Tykockich wstąpił do armii polskiej organizowanej w Rosji i w tej chwili znajduje się w Anglii. Natomiast drugi syn mieszka w Białymstoku w swoim domu - bo oni mieli własny dom - a matka ich zmarła. Tak jak również - jeśli chodzi o Plutów - troje dzieci żyje, a matka ich już nie żyje. I również moja mama też nie żyje. Tak więc wszyscy ci starsi do Polski wrócili i tu, w Białymstoku pomarli.

Jeśli chodzi o sprawy mieszkaniowe tam; to była ziemianka - wykopany dół. Częściowo - jeśli udało się - darń kleiło się gliną. Najpierw w ścianę wbijało się patyczki po to, żeby glina miała do czego się przylepić. Górną część układało się z darniny. Jeśli się miało jakąś szybkę, to się ją wstawiało, naokoło okładało się darniną. Tak, że to absolutnie nie były okna w takim kształcie, w jakim u nas w tej chwili są - duże, weneckie - kawałek szybeczki i to na tym się kończyło. Tak to wyglądało.

Jeśli chodzi o sprawy religii: tyle co w domach. Tu matki nas uczyły: i tego pacierza i czytania z książeczki do nabożeństwa. Bo innych podręczników nie było. Tak żeśmy się z tego uczyli. Jeśli chodzi o szkołę polską - jak początkowo wspomniałem - nauczycielka, nie pamiętam nazwiska - razem z nami była w tym Ałtajskim Kraju, i ona stworzyła taką szkołę, gdzie nas, no młodych dzieci, małych, bo mło-

dzień dorastająca, no to musiała pracować i do szkoły im chodzić nie było wolno. Natomiast nam, do lat czternastu, można już wtedy było nie pracować, mieć kartkę, dostać chleb i do szkoły trzeba było chodzić.

Jeśli chodzi o sprawę samej nauki - to może trochę dziwna sprawa. Bo tak: papieru nie było, książek też nie było. Myśmy się uczyli pisać i sami pisaliśmy na piasku. Gdy był piasek, była ziemia, to patykiem się literki kaligrafowało, a potem się odczytywało. Już potem, w 1945-tym roku, przed wkroczeniem Rosjan, już zaczął pokazywać się papier. Czyli nasza pani nauczycielka, która nas nauczała, już dostawała trochę papieru, ołówki i tym żeśmy pisali. To tak by wyglądała sytuacja, która istniała.

Z chwilą powrotu nas do kraju zaopiekował się nami PUR, dawał nam posiłki. Zawieziono nas do Opola. Ale granicę przekroczyliśmy chyba w Brześciu. Na pewno stacją końcową było Opole. Nas namawiano na ziemię odzyskane, gdzie mogliśmy dostać od razu piętrowe budynki do własnej dyspozycji, opuszczone przez Niemców. Ale mama się nie zgodziła. Powiedziała, że ona na ziemię odzyskane nie pojedzie, a chce jechać tam, gdzie ona mieszkała czyli do Białegostoku. No i tu żeśmy właśnie przyjechali. Tu mieszkaliśmy w takiej niedużej klitce. Tam ją nam początkowo jacyś znajomi dali. A potem żeśmy zaczęli mieszkać - też na poddaszu - bo mama nie chciała iść do żadnych żydowskich, polniemieckich domów, to żeśmy zaczęli mieszkać pod Mickiewicza 60. No i tak mieszkaliśmy dosyć długo. Tak, że mama tam zmarła. No, a my w tej chwili mieszkamy na ulicy Parkowej: ja z żoną i z jednym z synów.

Gdy nas zawieziono, to najpierw zamieszkaliśmy w jakiejś stodole, oborze czy chlewni, gdzie stała zwierzyna. Nie wrzucono nas jakiejś rodzinie na głowie. Tragedią było to, że tam straszne szczury panowały. Przecież rodzice nas w nocy pilnowali, bo niejednokrotnie nosy,



uszy szczury odgryzały dla małych dzieci. Tak że wyznaczone były dyżury: po kilka dorosłych osób chodziło z kijami i te szczury od nas odganiało. Takie to były problemy.

Burian, to jest okropna zawieja śnieżna. Można ją porównać do czegoś jak tornado. Okropny wiatr i tnie tak śniegiem niemilosierdzie, i gdzie jest jakakolwiek przeszkoda, to od razu powstaje szalona zaspą. I to kilkumetrowej wysokości może być. I takie właśnie zasy zawięwały nasze ziemlanki. Miejscowi jakoś szybciej potrafili się odkopać z tej zawiei, tego burianu i nas odkopywali.

Jeśli chodzi o ludność miejscową - to zapomniałem powiedzieć - to właśnie dzięki tej miejscowej ludności myśmy mogli jako tako przeżyć, przystosować się do życia i warunków, w jakich nam tam przyszło żyć. Bo gdyby nie oni nam pomagali, to Polacy by wyginęli. A mimo tego masa Polaków ginęła z uwagi na to, że nie było żadnych witamin, tam myśmy nie wiedzieli co to jest sól, nie znaliśmy jej smaku zupełnie, tłuszczów, i tak dalej. Wiele osób zaczęło puchnąć i umierało. Starsi ludzie zapadali na taką chorobę "cyngę", po polsku skorbut czyli wyjmowane zęby. Jeśli chodzi o ten skorbut: to ludzie chorujący na tę chorobę wyjmowali sobie zęby. A potem z powrotem sobie je wkładali. Taka była sytuacja. Masa osób wróciła bezzębnych, nie mieli ani jednego zęba. Tak, że warunki były tragiczne.

Miejscowi byli dla nas życzliwi, nawet bardzo. Oni nawet dzielili się z nami jedzeniem. Taka sytuacja była na przykład z mlekiem. Tak na przykład krowę ktoś miał, wylewał mleko do miseczek, mroził to na mrozie i taką gałeczkę zmrożonego mleka nam przynosili i dawali. Taką gałkę rozpuszczało się w piecu - rosyjskim - ma się rozumieć, w tej ziemlance, na którym się spało. Była to "pieczka", rosyjski piec chlebowy. Tak, że miejscowi bardzo nam pomagali. Czasem, przy wielkim święcie, jak na przykład u nich był Pierwszy Maj, to nawet i jajko nam podrzucili od kurki. Były to rzeczy, których człowiek przez całe

lata nie miał w ustach. Uważam, że ich życzliwość wynikała przede wszystkim z faktu, że oni sami klepali biedę przez wiele lat. Nie wiem, jaki był ich rzeczywisty stosunek do władzy radzieckiej, bo byłem w takim wieku, że mnie te sprawy wówczas jeszcze nie interesowały. Oni się bali swojej władzy. To o tym wiem. Gdy na przykład my z Rosjanami, chłopakami w naszym wieku gdzieś bawili czy pływaliliśmy w Irtyżu, to wystarczyło, żeby się jakiś milicjant pokazał czy uczotczyk /objeżdżał końmi dookoła te wszystkie ziemie/, to oni błyskawicznie truchleli: stawali na baczność i słuchali, co oni mówią. Jest to więc bojaźń szalona przed swoimi władzami. No bo jak to inaczej można wytłumaczyć? Sam fakt pojawienia się przedstawicieli władzy już ich paraliżował.

A o NKWD tu już chyba nic nie można powiedzieć. Takie to było straszne.

Prawdę mówiąc, żebyśmy na polach czegoś nie ukradli, czy nie wykopalili tego ziemniaka, czy nie zerwali liści buraka cukrowego, zbierali kłosków, to byśmy nie przeżyli. Co najgorsze, ziemniaki, które zostawały w ziemi, do wiosny one zgniły, na wiosnę wyschły tworząc takie kulki. Myśmy to zbierali i w moździerz /zrobionym z drzewa - wyłupanym dołku/ tłukli na masę i smażyliśmy z tego placki, zwane z rosyjska "lepioszki". Takie to było tamtejsze życie. Niejednokrotnie kał lepiej pachnie niż te placki. Ale cóż było robić, skoro nie było co jeść?

Zbieraliśmy też kłoski, chociaż to było zabronione i nas przy tym zajęciu ganiano. Wychodzono bowiem z założenia, że wszystko to, co urodzi rosyjska ziemia - a ziemia rosyjska jest bardzo urodzajna - to wszystko szło dla wojska. Nic tam nie zostawało dla ludzi. Lepiej niech zgnije, niż ludziom dać. Był taki wypadek! To pamiętam doskonale. Nie było co jeść. To było na przednówku. Nic nie było. To może nie było tak dokładnie na przednówku, bo to było wtedy, gdy bu-



raki zaczynały puszczać liście. A tam się bardzo wcześnie sadi. Poszła matka zerwać kilka liści buraka cukrowego, to ten dozorujący uczotczyk, na koniu trzynaście kilometrów gnał matkę do NKWD. I przez cały czas lał nahają po plecach. Tak, że matka miała rany, do obecnej chwili zabliźnione. Efekt był taki, że jeśli ją jeszcze raz złapią, to ona zostanie pozbawiona dzieci, a ją samą wywiozą gdzieś tam w tundrę czy w tajgę, do pracy. Tak, że taka sytuacja była tam. Tak to było.

Władze oczywiście wiedziały, że ludzie umierają z głodu. Ale co to ich obchodzi?

Trudno powiedzieć, czy panujący wówczas na Syberii głód był efektem prowadzonej wówczas wojny czy też bałaganiarskiego ustroju i niegospodarności. Wiem, że wszystko, co tam ziemia rodziła, było zbierane i magazynowane w tych podwałach, a następnie, w zimie było wysyłane na front. Część wysyłano w lecie. Zawsze się mówiło, że to idzie na front. A gdzie to tak naprawdę szło, to trudno mi na to odpowiedzieć. Za naszej tam bytności wszystko wysyłano na front, na front i na front.

Po powrocie do Polski zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej nr 3 przy ulicy Gdańskiej. Nauka tam przebiegała semestralnie: w ciągu roku robiłem po dwie klasy szkoły podstawowej. Po jej ukończeniu zdałem egzamin wstępny do Technikum Ekonomicznego przy ulicy Warszawskiej. Tam uczyłem się... bo to najpierw było Liceum Administracyjne pierwszego stopnia. A potem, kiedy skończyłem tę tak zwaną małą maturę, powstało Technikum. I ja poszedłem do technikum. Gdy tylko skończyłem tę szkołę, natychmiast zostałem wcielony do Wojska Polskiego. Był to rok 1955-ty. Służyłem w Warszawie, w batalionie łączności, koło Okęcia. Z chwilą powrotu... Przepraszam: jeszcze w ostatnim roku zacząłem pracować jako kontysta w księgowości. Po powrocie z wojska wróciłem do tej instytucji na wyższe stanowisko. Była to hurtownia „Elmet”. Teraz inaczej się nazywa ta instytucja.

Po powrocie zatrudniono mnie już na stanowisku starszego referenta w dziale finansowym. Instytucja nazywała się: "Hurtownia artykułów metalowych i elektrotechnicznych". Teraz jest pod jakąś inną nazwą. Mieściła się przy szosie Wschodniej, która obecnie nazywa się ulicą Armii Radzieckiej.

Tu pracując, stopniowo przeszedłem na kierownika finansowego, później zastępcę głównego księgowego. No i w następnych latach, to był chyba rok 1962-gi przeszedłem do Białostockiego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego przy ulicy Sienkiewicza. Tam pracowałem jako zastępca.

Po dziewięciu latach pracy w tej instytucji przeniosłem się do Spółdzielni Inwalidów Głuchych w Nowosiólkach. Tam pracowałem na stanowisku głównego księgowego.

W roku chyba 1980-tym przeszedłem, jako nauczyciel, do pracy w Zespole Szkół Budowlano-Geodezyjnych. I tu pracowałem do chwili odejścia na emeryturę, w lipcu tegoż roku. Wtedy to zakończyłem pracę zawodową i w tej chwili jestem na emeryturze. Jestem na emeryturze nauczycielskiej, bo ponad dwadzieścia lat miałem stażu pracy nauczycielskiej.

Po powrocie nie miałem żadnych przykrości z tytułu pobytu na Syberii. Wprawdzie w ankietach trzeba było pisać, że "losy wojny rzuciły mnie na tereny ZSRR" co by sugerowało, że trafiłem tam z powodu działań wojennych i niejako z własnej woli, ale to tylko było to. Szykan czy prześladowań nie doświadczyłem żadnych.

Moje obserwacje pobytu na Syberii są powierzchowne, bo byłem wówczas dzieckiem. Stąd mój brak zdania na tematy, które wówczas dotyczyły ludzi dorosłych.

motował: S. Sianko.